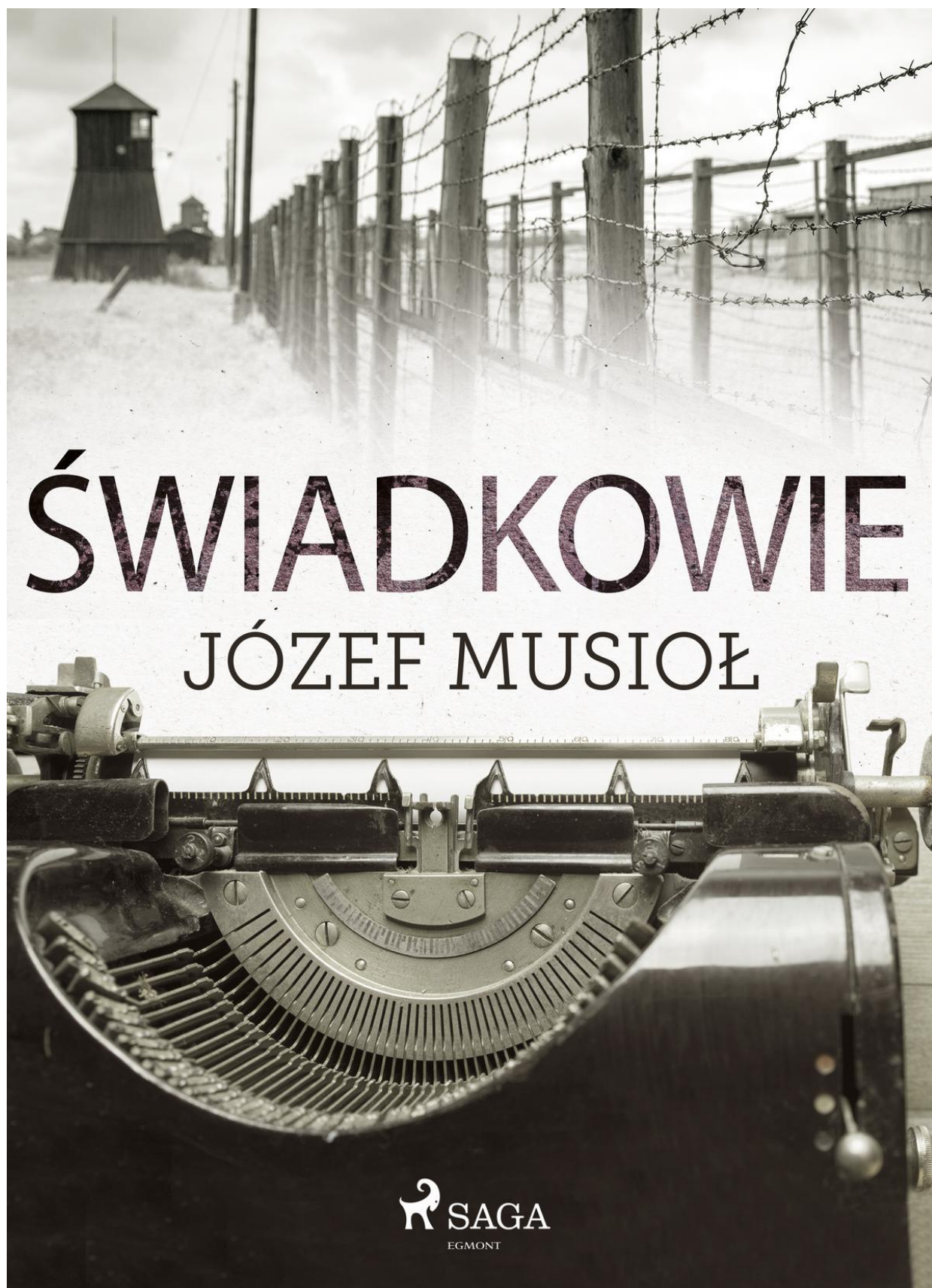




ŚWIADKOWIE

JÓZEF MUSIOŁ



ŚWIADKOWIE

JÓZEF MUSIOŁ

 SAGA
EGMONT

Józef Musioł

Świadkowie

Wydanie drugie uzupełnione

Saga

Świadkowie

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1979, 2021 Józef Musioł i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726726275

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Od Autora

Od 26 listopada 1975 roku toczy się w Düsseldorfie proces przeciwko czternastu byłym członkom SS, funkcjonariuszom obozu koncentracyjnego w Majdanku, w którym według wielu źródeł zagazowano, powieszono, zastrzelono lub zagłodzono na śmierć kilkaset tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

Niektóre źródła dowodzą, iż liczba ofiar przekracza milion osób.

Na ławie oskarżonych zasiedli:

Hermann Hackmann, były Schutzhaftlagerführer¹, obecnie zamieszkały w Usler,

Wilhelm Reinartz, były Unterscharführer², obecnie zamieszkały w Langenfeld,

Heinrich Schmidt, były lekarz obozowy, Obersturmführer, obecnie mieszka w Uelze, powiat Burgdorf, Thomas Ellwanger, były Unterscharführer, obecnie mieszka w Eyerhausen,

Emil Laurich, były Rottenführer w wydziale politycznym, obecnie mieszka w Neu-Wulmstorf,

Heinz Villain, były Unterscharführer i Feldführer, obecnie mieszka w Monachium,

Heinz Petrick, były Oberscharführer i Feldführer, obecnie mieszka w Monachium,

Heinrich Groffmann, były Unterscharführer i Feldführer, obecnie mieszka w Behringen,

Arnold Strippel, były Obersturmführer, adiutant i przejściowy zastępca Schutzhaftlagerführera, obecnie

*mieszka w Niederhohstadt, Taunus,
Hildegard Lächert, była Aufseherin ³, obecnie
mieszka w Reicharthaussen/Baden,
Rosa Süß z domu Reichel, była Aufseherin, obecnie
mieszka w Neureichenau,
Charlotte Mayer z domu Wöllert, była Aufseherin,
obecnie mieszka w Kolonii,
Hermine Böttcher z domu Brückner, była Aufseherin
(także Aufseherin w Ravensbrück), obecnie mieszka w
Hanowerze,
Hermine Braunsteiner-Ryan, była Aufseherin,
aktualnie mieszka w Essen.*

Oskarżeni odpowiadają z wolnej stopy i w okresie procesu mieszkają w opłaconych przez państwo mieszkaniach, położonych niedaleko sądu.

Polska udziela wszechstronnej pomocy organom ścigania i wymiaru sprawiedliwości RFN, w celu ustalenia zakresu winy poszczególnych osób postawionych w stan oskarżenia. Zeznania świadków z Polski mają niemałe znaczenie dowodowe w tym procesie. W latach 1968—1978 wyjechało z Polski przeszło sześciuset świadków, w tym 549 do RFN.

Rzecznicy z Bonn zapowiedzieli zakończenie tego ostatniego z wielkich procesów zbrodniarzy hitlerowskich na koniec 1980 roku. Jednak już dzisiaj można stwierdzić, sądząc po tempie, w jakim się toczy, że dotrzymanie tego terminu — jak to podkreśla prasa zachodnia — jest wielce wątpliwe. Wszystko wskazuje na to, że pobity zostanie rekord czterech lat, ustanowiony przez procesy norymberskie, które trwały od 1945 do 1949 roku. Oblicza się też, że koszty tego procesu wyniosą kilkanaście milionów marek.

Proces toczy się w swoistej atmosferze, echa docierające z düsseldorfskiej sali rozpraw są niepokojące i to nie tylko

dlatego, że oskarżeni nie czują skruchy, lecz przede wszystkim dlatego, że część obrońców wykorzystuje salę rozpraw jako trybunę do wygłaszania poglądów podważających wartości i zdobycze cywilizacji, które tak brutalnie podeptał hitleryzm.

Jak pisze „Newsweek” (tłumaczenie w nr 32 „Forum” z 1977 roku), obrońcy w pewnej fazie rozprawy „niemal odebrali inicjatywę prokuraturze”, wybielając nazizm na czele z Adolfem Hitlerem. A ofiary zbrodni hitlerowskich, które przeżyły i wyraziły zgodę na wystąpienie w tym procesie w charakterze świadków, były przedmiotem ataków nie mających nic wspólnego z dochodzeniem prawdy materialnej.

Tak się już dziwnie składa, że relacje z procesów koncentrują swą uwagę wokół oskarżonych, a rzadziej wokół ich ofiar. To oskarżeni stają się w naszych publikacjach postaciami pierwszoplanowymi, a ich ofiary giną w cieniu anonimowej notatki prasowej. Fascynują nas bardziej zbrodnie i ich sprawcy niż ofiary i ich przeżycia, przeżycia z czasów dokonania przestępstwa, jak i te, które ofiary otrzymały niejako w spadku i od których uwolnić się tak trudno. Tragicznym paradoksem jest także i to, iż dzięki temu, że ofiary pamiętają, tkwią w koszmarnych przeżyciach i zapomnieć ich nie potrafią.

Społeczność ludzka, jeżeli zechce, może tę pamięć ofiar wykorzystać do stawiania tamy rodzeniu się nowych zbrodni. Czyżby więc w interesie ludzi leżało, aby ofiary zbrodni nie zapomniały?

Spójrzmy więc na ten proces w Düsseldorfie oczami ludzi, którzy przeżyli gehennę obozu koncentracyjnego. Ludzi, których obecność na sali jest często poprzedzona wstrząsem wywołanym uświadomieniem sobie konieczności nie tylko mówienia prawdy o tamtych latach, ale i zetknięcia się ze swymi oprawcami.

Co skłoniło ich, że zdecydowali się na wyjazd do RFN, by stanąć tam nie tylko przed sądem, ale spotkać się oko w oko z ludźmi, dla których w końcu nie tak dawno życie świadków, przybywających dzisiaj do Düsseldorfu z Polski, Izraela i innych krajów świata, przedstawiało mniejszą wartość niż życie psa.

Czym kierowali się świadkowie przybywający z różnych stron świata — żądzą odwetu, szukaniem zemsty, czy też dążeniem do utrwalenia prawdy, przerażającej w swej treści, która podobnie jak inne dobra, powinna służyć przyszłym pokoleniom?

Posłuchajmy ich relacji. Może pomogą nam, szczególnie młodym, ujrzeć współczesność nie tylko przez pryzmat wytwornej garderoby i luksusowych samochodów, jakimi na przykład na kolejne posiedzenia sądu w Düsseldorfie zajeżdżają niektórzy oskarżeni.

Może pomogą zrozumieć, dlaczego o zbrodniach hitlerowskich zapomnieć nie wolno i dlaczego Narody Zjednoczone dnia 26 listopada 1968 roku uchwaliły konwencję o niestosowaniu przedawnienia wobec zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości.

A może pomogą również zrozumieć, dlaczego Republika Federalna Niemiec dotąd tej konwencji nie podpisała, mimo iż jest członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Twarzą w twarz

Warszawa, dnia 15 sierpnia 1977 roku. Rozpoczynam rozmowę z ludźmi, którzy — nie bójmy się tego stwierdzenia — mieli nie żyć. Weszli do budynku redakcji jakby onieśmieleni, trochę zdeterminowani moim zaproszeniem do któregoś tam z rzędu odtworzenia nie tylko wrażeń z procesu, w którym uczestniczyli — bo czynią to po raz pierwszy — lecz wracaniem do tamtych obozowych przeżyć. Na nic zdają się wysiłki stworzenia nastroju swobody, ani kawa i herbatniki na redakcyjnym stole. Nie może być swobody tam, gdzie mówi się o sprawach życia i śmierci.

Świadkowie. Wszyscy, z którymi się zetknąłem, wykazywali powściągliwość i niechęć powrotu nie tylko do obozowych przeżyć, ale i okoliczności, w których świadomie zdecydowali się otworzyć śluzę pamięci i poddać próbie to, co przeżyli, co jest częścią ich życia, ich bolesnym doświadczeniem.

Jak zacząć rozmowę, której chcą uniknąć, mimo iż mają świadomość, że ich przeżycia stanowią ostrzeżenie dla współczesnego świata pełnego zbrodni i nienawiści, a więc nie mówić, a krzyczeć powinni.

Kto? Oni, byli więźniowie, czy my wszyscy, świat cały? Krzyk tamtych za drutami był jakże często ostatnim dowodem życia zgaszonego w komorze gazowej lub pejczem SS-mana wydoskonalonego w zabijaniu.

Czy świat usłyszał tamten krzyk, czy pamięta go dzisiaj, czy jeszcze chce pamiętać?

Jak może chcieć pamiętać, skoro tworzy doskonały, przerażająco doskonały system masowego zabijania, przy którym komory gazowe stanowią pierwszy stopień wtajemniczenia w produkcji „urządzeń” zagłady. A może w tym kontekście nie powinniśmy pamiętać o Buchenwaldzie, Oświęcimiu czy Majdanku, o ludziach, którzy zginęli w obozach i o tych, którzy to piekło dwudziestego wieku przeżyli?

Może więc nie warto pisać o przeżyciach jednostek, którym los darował życie, skoro szykujemy broń do zabijania milionów? Broń? Nie, to określenie już tu nie pasuje. Raczej będzie się to nazywać „środek” do masowego mordowania ludzi.

Słuchać więc, czy nie słuchać tamtych, wstrząsać sumieniem i dobijać się o pamięć i prawdę, czy poddać się bezwolnie? O wojnie wiemy już podobno wszystko. Młode pokolenie czuje przesyt tematyką z okresu drugiej wojny światowej?

Tak, istotnie, wiemy dużo — w liczbach, wielkościach bardzo wymiernych, w kategoriach, które z uwagi na rozmiar, upływ czasu stają się coraz bardziej pojęciami abstrakcyjnymi i dlatego już nie przerażają. Spróbujmy jednak spojrzeć na „tamto” oczyma człowieka, który przeżył obóz, który — aby żyć — pragnie puścić w niepamięć wszystko, co wniósł w jego życie koszmarny okres komór gazowych, człowieka, który po przeszło trzydziestu kilku latach zdecydował się na tę niecodzienną konfrontację przeszłości z tym, co dostarcza mu współczesny świat.

Zaczynam stereotypowo: — Co zdecydowało, że wyrazili zgodę na wyjazd do RFN, na proces, w czasie którego powracając do utraconej młodości, podeptanej godności ludzkiej zmuszali się do maksymalnej koncentracji i mogli z tego procesu nie powrócić? Tamte obozowe przeżycia

zniszczyły ich zdrowie do tego stopnia, że stale są pod opieką lekarską.

Świadkowie: Iwona Stembrowicz — kierownik administracyjny Teatru Rozmaitości w Warszawie, Jan Nowak — psychiatra, doktor nauk medycznych, też z Warszawy.

Iwona Stembrowicz: — Pojechałam do Düsseldorfu z ciężką gripą. Zdecydowałam się — mimo tamtego koszmaru, który wraca jeszcze dzisiaj, po tylu latach — bo stanąć przed sądem nakazywał mi patriotyczny obowiązek, obowiązek każdego człowieka przyjscia z pomocą wymiarowi sprawiedliwości. Drugi element, który wpłynął na przełamanie jakichkolwiek oporów, to wola przekazania młodemu pokoleniu, że tamto istniało tak samo, jak miała miejsce druga wojna światowa. Że to jeszcze istnieje. Że nie zginęło.

Już po pierwszym spotkaniu tu, w Polsce, z prokuratorem z RFN-u zdecydowanie powiedziałam: tak! Myśmy tak wiele przeżyli w obozie. Ja na przykład miałam już wyrok śmierci i cudem jedynie jej uniknęłam. Nie mogę więc teraz unikać mówienia prawdy.

Miałam zeznawać głównie na okoliczność oskarżonego Reinartza. To był felczer, który zabijał Żydów. Chodziło też o dzień 3 listopada 1943 roku, kiedy to w ciągu jednego dnia zamordowano około 18 000 osób.

Jan Nowak: — U mnie jest to sprawa złożona. Przywieziono mnie na Majdanek w lutym 1942 roku, gdy obóz istniał w projekcie jako Kriegsgefangenenlager der Waffen SS ⁴. Po drodze zaliczyłem słynne więzienie na Montelupich w Krakowie, roczny pobyt w Oświęcimiu. Byłem po tyfusie, po trzydziestokilogramowym spadku na wadze. Byłem jednak silny duchowo, byłem już lekarzem i temu chyba zawdzięczam przetrwanie.

Obóz na Majdanku budowano na moich oczach; powstawały baraki, przy budowie których zginęło dziesięć tysięcy Żydów lubelskich i prawie pięć tysięcy radzieckich jeńców.

Warunki panujące w tym obozie — to błoto, głód. Błoto, jakiego nigdzie nie widziałem. Wszy, pluskwy, pchły i wyniszczenie głodem. Podobnych warunków nie spotkałem w żadnym innym obozie, a byłem aż w czterech.

Moralna więź, poczucie godności, mimo deptania wszystkiego co ludzkie, niesienie pomocy drugiemu — oto co pomagało nam, więźniom politycznym, przetrwać. To zadecydowało, iż udało nam się uchronić między innymi życie jednego z najwybitniejszych lekarzy, współtwórcy nowoczesnej pediatrii polskiej — profesora doktora Mieczysława Michałowicza, współzałożyciela i honorowego przewodniczącego Stronnictwa Demokratycznego.

Decyzja, o którą pan pyta... Widzi pan, mimo iż upłynęło tyle lat, większego procesu oprawców z Majdanka nie było. Był proces w sprawie katów z Oświęcimia, jednak nie wystąpiłem w nim.

Dlaczego? Za dużo człowiek przecierpiał, świadków było wielu. Tu jednak uznałem, iż nie może mnie zabraknąć. Byłem na Majdanku jednym z pierwszych, o czym świadczy choćby mój numer obozowy — 19. Widziałem więcej od innych i obowiązkiem moim było obiektywne przedstawienie tego, co działo się w tym piekle. Ludzie mnie ostrzegali, mówili: ty tyle wiesz, nie jedź tam. Jeśli w tym państwie zamordowano prokuratora generalnego, to dlaczego miano by oszczędzać ciebie, tak niewygodnego świadka, zakatrupią cię. Powiesz, że nie możesz, nie jesteś przecież zupełnie zdrowy.

Do tych ostrzeżeń dochodziły wiadomości o bezpardonowym, pełnym szykan zachowaniu się obrońców w tym procesie, o tym, jakich przeżyć doznali świadkowie.

Odpowiedziałem swym bliskim: wiecie, to byłoby jednak tchórzostwo z mojej strony, muszę jechać, bo to jest sprawdzenie się. To sprawdzenie, które zapoczątkowane zostało w obozie i z którego wyszedłem jako człowiek. Była to więc dla mnie jeszcze jedna z prób. Pojechałem.

Iwona Stembrowicz: — Pyta pan o wrażenia i refleksje związane z zetknięciem się z sądem w Düsseldorfie?

Tak się składa, że występowałam w ogóle po raz pierwszy w sądzie. Mimo że sąd — myślę tu o przewodniczącym składu sędziowskiego — odnosił się do mnie jak najbardziej właściwie, wręcz mnie bronił przed napaścią obrońców, od samego początku poczułam się w tym sądzie nie jako świadek, który przebył taką drogę, by sądowi pomóc, lecz jako oskarżona. Już sam układ na tej sali rozpraw mnie zaszokował. Oskarżeni — wszyscy wytwornie ubrani, siedzieli w towarzystwie obrońców nie tak jak to ma miejsce u nas, lecz jak w klasie lekcyjnej siadają słuchacze. Patrzyłam na ich twarze z bardzo bliska.

Jest „krwawa Brygida”. Jest Hermina Braunsteiner-Ryan — ta, którą sąd w Ameryce ekstradował do RFN-u, „bohaterka” książki więźniarki Danuty Brzosko-Mędryk *Czy świadek szuka zemsty?*⁵ W spojrzeniu byłych oprawców nie dostrzegłam ani skruchy, ani żalu, tylko pogardę i ironię. Rozmawiali ze sobą lub obrońcami, trącali się, bez przerwy wtrącali różne słowa.

Mimo upływu przeszło trzydziestu lat mam zakodowane pewne wiadomości, ale trudno czasem podać jakąś datę. Gdy się przejęzyczyłam lub pomyliłam na przykład datę, atak obrońców był natychmiastowy, mający na celu nie — udowodnienie prawdy, a wręcz jej zaciemnianie i zdyskredytowanie mnie jako świadka i jako człowieka. A przecież nie mogłam pamiętać ścisłych dat, bo ja pamiętników tam nie pisałam, a tylko przeżywałam

tragedię. Byłam wtedy młodą, wystraszoną dziewczyną, kilka razy umierającą.

Zeznawałam 2 maja 1977 roku, od dziewiątej do piętnastej. Gdy zeznawałam, oni się śmiali i kpili i to tak, iż musiał interweniować sędzia. A przecież mówiłam o życiu i śmierci zadawanej masowo ludziom przez ludzi — nic takiego, co mogłoby być kwitowane śmiechem. Jeden z obrońców szczególnie się w tym wyróżniał — obrońca „krwawej Brygidy”. Zaraz... jak on się nazywał... chyba Bock. Taki młody, trzydziestoparoletni, o długich, lepiących się, okropnych włosach, w okularach.

Byłam świadkiem, głównie w sprawie Reinartza i tam na sali rozpraw nie mogłam go poznać, ponieważ jeszcze nie wiedziałam, że ten hitlerowiec był po operacji plastycznej czy innym zabiegu szczęki. Zarzucał mi obrońca, jak mogłam go nie poznać! Nie wytrzymałam i zapytałam: a on mnie pozna, czy wy mnie poznajecie? To było trzydzieści trzy lata temu.

Gdy wychodziłam w czasie przerwy na korytarz, bo chciałam się czegoś napić — przechodziłam obok niej — Hildegardy Lächert, owej „krwawej Brygidy”, bo biła biczem ze stalową końcówką, na śmierć. Nie mogła mnie już zabić biczem, ale z jej spojrzenia wyczytałam: „Ty polskie ścierwo, gdybym to wtedy wiedziała lub teraz mogła, zatłukłabym ciebie”. Czułam, że zabija mnie wzrokiem. Gdyby nie koleżanka, gdyby nie prokurator, tam, na korytarzu...

Dochodziło do tego, że płakałam jak dziecko, bo wstrząsające było i to, że oni wszystko, cośmy powiedzieli, bagatelizowali sobie. Ci Niemcy nam nie wierzyli! Był okres, że zrobiło mi się tak słabo, iż musiał interweniować lekarz...

Na koniec moich zeznań złożyłam zgodnie z ich procedurą przysięgę. I tu wprowadziłam ich w szok, bo na

pytanie, jaką formę przyrzeczenia będę składać, odpowiedziałam: taką, jaka przewidziana jest dla katolika. Jak to — zdawali się pytać — ona, z tego komunistycznego kraju, ma odwagę przyznać się, iż wierzy i że chce składać przysięgę przewidzianą dla wierzącego?

Na drugi dzień zaskoczono mnie oświadczeniem, że na wniosek obrońcy mam ponownie stanąć przed sądem, bo rzekomo jestem Żydówką i dlatego takie, a nie inne zeznanie złożyłam. Byłam oburzona i zażądałam, aby mnie natychmiast przesłuchano, a nie dopiero następnego dnia. Sędzia się przychylił do mej prośby i znów stanęłam przed sądem. Rozpoczęło się dodatkowe przesłuchanie, w którym odpowiedziałam:

— Proszę Wysokiego Sądu, to im o to chodzi, z jakiej rasy się wywodzę? My, tu na sali, walczymy o prawa człowieka bez względu na rasę i wyznanie. Dla prawdy, dla zaspokojenia ciekawości pana mecenasu mogę wykazać się do dziesiątego pokolenia, że... nie tylko nie jestem Żydówką, ale w całej mojej rodzinie nie mam nikogo spokrewnionego lub spowinowaconego z rodziną żydowską.

— No, a ciotka, ta, która zginęła w obozie?

— Moja ciotka umarła w 1965 roku w Warszawie i pochowana została na Powązkach. Można sprawdzić: IV brama, 64 kwatera.

Wtedy to sędzia powiedział: — Bardzo panią przepraszam za kolegów, którzy tutaj popełnili taki nietakt. Jeszcze raz pani dziękujemy, nie będziemy już pani zaprzysięgać drugi raz.

Dla mnie cel takiej postawy był jednoznaczny: zaskoczyć, podważyć wartość moich zeznań, ale chyba jeszcze coś więcej...

Chyba więc chodzi tu o coś więcej niż o zaskoczenie i wytrącenie świadka z równowagi, choć i stosunek do

świadka — w tym wypadku kobiety, która przeżyła gehennę obozu koncentracyjnego — nie może pozostawać poza sferą ocen etyczno-moralnych. W trzydzieści dwa lata po klęsce hitleryzmu rasizm pojawia się publicznie i to w codziennych wystąpieniach adwokata. Już nie gdzieś w przeszłości, a w zasięgu wyciągniętej dłoni jawi się to, co złowieszczo wyziera z treści znamienego rozkazu SS podpisanego przez Heinricha Himmlera.

„W czasie prowadzonych przeciwko bandom akcji, należy zebrać mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy podejrzani są o kontakty z bandami i oddać ich do obozów w Lublinie lub Oświęcimiu [...] Szef Urzędu Głównego SS ds. Zarządzania Gospodarczego proponuje w porozumieniu z szefem policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa, aby w Lublinie urządzić obóz zbiorczy dla dzieci i młodzieży. W obozie tym mają być poddani badaniom pod względem rasowym i politycznym. Młodzież płci męskiej i żeńskiej, która rasowo jest bez znaczenia należy kierować do zakładów gospodarczych przynależnych do obozów koncentracyjnych i szkolić ich w charakterze uczniów. Dzieci muszą być wychowywane. Wychowanie ma obejmować naukę, która będzie polegać na wpajaniu im obowiązku posłuszeństwa, pracowitości, bezwarunkowego poddaństwa oraz uczciwości w stosunku do niemieckich panów. Liczyć mają do stu, zapoznać się ze znakami drogowymi; należy również przygotować ich do przyszłych zawodów jako rolników, ślusarzy, kamieniarzy, stolarzy itd. Dziewczęta należy przyuczyć do prac w gospodarstwie rolnym oraz jako tkaczki, prządki, dziewiarki (robienie na drutach) i tym podobne roboty [...]

Jan Nowak: — Dla mnie, lekarza, często występującego przed sądem w Polsce jako biegły, uderzające było na samym wstępie to rozmieszczenie osób na sali rozpraw.